



WACŁAW SIEROSZEWSKI
UKOCHANA
I NIEŚMIERTELNA
PRZEPOWIEDNIA
WERNYHORY
SCLAVUS SALTANS

ARMORYKA

Wacław Sieroszewski

**UKOCHANA
I
NIEŚMIERTELNA**

**PRZEPOWIEDNIA WERNYHORY
SCLAVUS SALTANS**

**Armoryka
Sandomierz 2018**

Projekt okładki: Juliusz Susak

Copyright © 2018 by Wydawnictwo „Armoryka”

**Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>**

ISBN 978-83-8064-640-7

WACŁAW SIEROSZEWSKI

UKOCHANA
I
NIEŚMIERTELNA

PRZEPOWIEDNIA WERNYHORY
SCLAVUS SALTANS



WARSZAWA

INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA”

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

Drukarnia Zakładów Graficznych „Biblioteka Polska” w Bydgoszczy

UKOCHANA I NIEŚMIERTELNA...

Jak owad zasklepiony w otworze starego muru, siedział Stanisław Sokół zgórá już rok w jednej z cel wielkiego więzienia. Nikt go nie odwiedzał, gdyż nie miał ani krewnych, ani znajomych w mieście. Od czasu do czasu wszakże tajemnicza ręka posyłała mu trochę tytoniu, cukru, herbaty, starą obskubaną książczynę, oraz składała w kancelarji więziennej parę rubli. Działo to nań zawsze, jak działa łagodne, pieśczośliwe dotknięcie ludzkie na duszę sieroty. Błogie ciepło przenikało mu wędnące serce, czuł, że go tam gdzieś kochają, że pamiętają o nim... Czuł się znowu cząstką tej potężnej fali, podmywającej „światy“, czuł, że ma... braci i, chodząc wkółko po małej celi nucił:

Hej... razem bracia do szeregul
Z jednaka myślą, z dłonią w dłoń!

Ale o fali tej wiedział teraz bardzo mało i ożywienie trwało niedługo.

Szare wilgotne ściany, niby okropny polip, wysysały zeń niezmordowanie wszelkie myśli,

barwy i wszelkie uczucia. Znikał rumieniec z młodych jego policzków, znikająca krew ze świeżych niegdyś ust, przygaszały oczy gwiazdziste. Wracił do stanu, że godzinami mógł śledzić z zajęciem polot muchy, która wypadkiem wpadła do jego kazamatu. W głowie i piersiach, niby pleśń narastała mu coraz grubszymi warstwami zabójcza, przeraźliwa pustka, szara, wilgotna ohydna, jak otaczające go ściany.

O tem, co się działo na świecie, dowiadywał się tyle tylko, co mu wystukał sąsiad z prawa lub z lewa...

Pewnego dnia, kiedy towarzysze miewali zwykle widzenia, jego baczne więzienne ucho uловиło w zwykłych szmerach niezwykle tony. Wydało mu się, że dozorca stąpają jakoś ciszej i ostrożniej, zato przechodzący mimo więźniowie zachowują się niezwykle zamaszysto i hałaśliwie.

— Towarzyszel... Kon-sty-tu-cjal... Wolność!... — zabrzmiał niespodziewanie w korytarzu przejmujący głos. — Poczem nastąpiło szamotanie, głucho okrzyki, wymyślenia polskie i ruskie, wkońcu drzwi zatraszały się z łoskotem.

Sokół zerwał się, i choć nie uwierzył, mimo to drżał, jak osikowy liść i nasłuchiwał pilnie, stojąc tuż przed drzwiami, gotowy wypaść przez nie natychmiast. Aż odemknęło się we drzwiach małuchne „oczko“ i dozorca spytał grubjańsko:

— Czego tu stoisz?

Robotnik odwrócił się tyłem do niego, ale ode drzwi nie odchodził. Po jakimś czasie „oczko“ zatrasało się z bezsilną złością i kocie kroki popęzły dalej wzdłuż korytarza.

Stanisław czekał z niecierpliwością na powrót sąsiada z prawej strony, którego słyszał, jak prowadzono przed chwilą na widzenie. Wreszcie rozległ się znany mu zgrzyt kraty zewnętrznej i tłumne kroki zbliżały się szybko ku jego drzwiom. Drżał coraz gwałtowniej.

— Co to? czyżby istotnie... wolność?!

Zgrzytnęły rygle, we drzwiach ukazał się żandarm, a za nim z tyłu dwóch żołnierzy.

— Pożalujcie na progulku! (Proszę na spacer!)

Więzień widocznie nie zrozumiał, o co chodzi, patrzył osłupiałymi oczami na zdwojone straże.

— Pożalujcie na progulku! — powtórzył z zadowoleniem żandarm.

Stanisław wstrząsnął głową, mówić nie był w stanie.

— Nie chotitie? Kak ugodno!...

Drzwi zamknęły się. Został sam i, chodząc w kółku po celi, silił się wrócić do równowagi.

Niezadługo stuk zasów i znane kroki w sąsiednim kazamacie powiadomiły go o powrocie towarzysza. Począł aż nadzorcy oddalili się i niecierpliwie zastukał.

...Raz... raz... dwa... trzy! Raz... dwa... trzy... cztery... raz... dwa!...

— Co słyhać!... Czy doprawdy... konstytucja?

— Nie wiem. Żona mówiła, że coś ogłosili... że chodzą po ulicach ze sztandarami... że na placu zabito dużo robociarzy... że koło rogatek też była bitwa... Więcej nie powiadała... — wystukiwał sąsiad.

Wybornie wyćwiczony, rozszczepiony na dwie uwagi, słuch Sokół, uchwycił kocie, skradające się pod drzwiami, kroki. Dał znak towarzyszowi i odskoczył od ściany.

„Oczko“ otwarło się.

— Znowu stukasz?! Ja ci stuknę!...

Więzień zbył pytanie pogardliwym milczeniem, ale usłyszał, jak następnie dozorca podszedł do sąsiada, jak otworzył drzwi i wymyślał, wygrażał mu długo i urągliwie. Oznaczało to, że stukanie należy odłożyć do zmroku. Żonaty sąsiad nie lubił narażać się, gdyż miał co tracić.

Sokół chodził czas jakiś po celi, ale nie mógł „wrócić do równowagi“. Wszystko w nim wrzało. Przez okno matowe, jak żrenica ślepeca, przeświecał z nadworza pogodny dzień, do wylotu blaszanego „namordnika“, zawieszzonego przed lufcikiem, zaglądał kawałek pozłoczonego słońcem błękitu, biała chmurka z wydętą piersią przepływała po nim, dążąc w nieskończoność... Sokół przystawił stół, schwycił się rękami za

kraty i wdrapał do samego lufcika po mocno ściętej, ukośnej framudze okna. Przyłgął twarzą do żelaza i nasłuchiwał, wdychając z rozkoszą chłodne powietrze... Uderzyła go głęboka cisza miasta... Żadnych krzyków i dzwonek, żadnego stukotu tłukących się po nierównym bruku wozów... Z oddala jedynie, z bardzo daleka, płynął niewyraźny, zbiorowy pogwar, szmer, podobny do westchnień wichru... Zasłuchany węń, więzień nie zauważył, że „oczko“ dawno już się ode-mknęło, że już zgrzytały ostrożnie odsuwane rygle...

— Złaż zaraz! Nie wiesz, co w prawidłach napisano! Powiem naczelnikowi, żeby wsadził cię do ciemnicy na chleb i wodę!... Słyszysz!...

Wiszący u krat robotnik ani się ruszył: w dalekim pogwarze rozróżnił dźwięki, od których serce mu zabiło i zapłonęło, jakby nagłym przesyte piorunem. Dozorca skoczył ku niemu i pociągnął go za nogę. Sokół spadł na ziemię.

— Precz! — krzyknął, zrywając się i chwytając za stółek.

Dozorca cofnął się i sięgnął do rękojeści rewolweru.

Stali chwilę naprzeciw siebie, mierząc się palającymi oczyma, ale z ulicy coraz wyraźniej dobiegały dziwne dźwięki... Gniewny wzrok robotnika zwilgotniał, dozorca cofnął się, mrużąc przekleństwo.

Jeszcze drzwi się nie zatrasały, a już znowu

wisiał więzień u kraty. Na ulicy działy się rzeczy niepojęte... Śpiew umilkł, ale słyhać było wyraźnie gędbę wielotysięcznego tłumu...

Idą, już idą!... Nogi ich miarowo i ciężko stąpają po twardych brukach, szcleszczą nad nimi chorągwie... Przeklęty blaszany „namordnik“!... Wybić go, złamać, za wszelką cenę!...

Wychylał się, szarpał... Daremnie! Za daleko!... Nie sięgają ręce!... Ach, zobaczyć na mgnienie oka ich twarze ukochane i pokazać im, iż mimo męki i więzy, miłowani są wiernie i gorąco, jak dawniej!...

Nagle zaszumiało i wzniosło się, jak ogromna fala morskiego przyływu:

.
.
Porządek stary już się wali,
Żywotem dla nas jego zgon,
Będziemy wspólnie pracowali
I wspólnym będzie pracy plon!
.
.

Łzy ciurkiem lały się po pobladłej twarzy robotnika. Nagle wydało mu się, że drgnęły mury, na których spoczywał: więzienie odezwało się śpiewem głuchym, jak ryk zduszonych lwów:

.
Dalej więc, dalej więc, wzniesmy śpiew...

Kraków, 21. kwietnia 1906 r.

Spis treści

Ukochana i nieśmiertelna	3
Przepowiednia Wernyhory	11
Sclavus Saltans. Wspomnienie z Syberii	23